№ 30.

WARSZAWA DNIA 16 (28) LIPCA R. 1866.

TYGODNIK MÓD i NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

POGLĄD NA EPOKĘ ODRODZENIA LITERATURY ANGIELSKIEJ od połowy zeszłego wieku.

Kiedy w Anglji nastąpiła restauracja Stuartów prowadzonych ręką Francji, w piśmiennictwie także smak francuzki przeważne zajął stanowisko, chociaż usposobienie całego narodu, kierunkowi temu było najzupełniej przeciwne. Ale wspierali go torysowie znudzeni już ponurością ducha purytańskiego, i cokolwiek rozgniewani na głosy dotąd im nieznane, wiejące w zbyt śmiałych formułach od francuzkiego lądu. Skupili się więc bliżéj siebie, a zobaczywszy, że ich znaczeniu i przywilejom, odrywające się kolonje w Ameryce, wykopują przepaść, wystąpili do walki przeciw ideom tak sobie przeciwnym i energją niczem nie zrażającą się, wstrząsnęli genjuszem Francji z końca XVIII wieku, a Napoleona osadzili na skale wśród morskich otchłani. Ujawszy tym sposobem wszystkie wewnętrze stosunki, nadawszy im formę miejscowych wymagań, popchnęli i literaturę na nową drogę, także miejscową, usłaną kwiatami nigdy nie więdnącemi o barwach cudownéj i bajecznéj mocy.

Nie było to jednak naśladownictwo Germanji, wskrzeszającéj średniowieczne czasy z rycerzami zakutemi w zbroję, dumnemi jak ich piętrzące się zamki, i na ich gruzach tęschne za przeszłością wywodzącéj żale, ale przeciwnie przy zachowaniu formy klassycznéj, był to zwrot do prostoty naturalnéj, wyszukiwanéj w odleglejszych warstwach ludu, nie zepsutych wpływem stolicy, i do skarbnicy pamiątek przeszłości. Pomału więc wygładzona prozaiczność i uczoność wieku Popego, zaczęła się zużywać ustępując ożywczemu źródłu ludowéj poezji, i rozważaniu starych wielkich poetów narodowych, szczególniéj też Szekspira, długo zapomnianego, jako nie mogącego być pojętym przez zwolenników fałszywego francuzkiego klassycyzmu. Pierwszy który wystąpił był Persy, i wydaniem zbioru pieśni gminnych założył fundamenta nowéj epoki, nie tylko dla saméj Anglji, ale i dla innych społeczności, wytwarzających późniéj zastępy pracowników jemu podobnych. Wprawdzie poprzedził go Macfersona Ossyan, ale Persy był pierwszym co obudził prawdziwe zamiłowanie między ziomkami, do staroludowéj pieśni 1). Z pośród więc sfrancuziałego klassycyzmu Popego i jego współczesnych, literatura angielska zaczęła się wysnuwać wąziutką wstęgą nowéj romantyczności, niby strumyk w pośród odwiecznych skał, muskający ze szmerem polne bławatki, stokrocie aby zamienić się w huczący potok na zdumienie całego świata. Postęp jednak tą drogą nie był gwałtowny, konwencjonalna modna dotąd poezja, nie odrazu poślubiła sobie naturę i uczucie miejscowe. Przejście to rozwijali Thomson, Gray, Cowper, Glower, Stern, Goldszmit i inni: późniéj nastąpił Horacy Walpol, James Beati i nieszczęśliwy Tomasz Chatterton, który posiadając wiecznie czynną wyobraźnię, gorące pełne miłości serce, pisał

1) U nas pomiędzy mało licznemi zbieraczami pieśni ludowéj, na najchlubniejszą wzmiankę zasługuje Oskar Kolberg. Pracy téj poświęcił całe swoje życie, swój byt, obecność, przyszłość z zupełnem zaparciem się samego siebie. Ze zbiorów z niezmiernym trudem i pracą zebranych, małą nader część wydał na widok publiczny, resztę porządkuje i pomnaża. Z tem zaś co ma przygotowane, czeka na przyjaźniejszą chwilę do publikacji. Poświęcenia, zamiłowania przedmiotu, gorliwości zacnego zbieracza nie podobna określić słowami. W przyszłości zbiory jego będą rozrywane, przepłacane i coraz nowsze wychodzić będą edycje, dziś trudno mu sprzedać i kilkaset egzemplarzy.

prześliczne ballady w starym języku, a z nędzy otruł się. W teatrze także nowy popęd literacki równy wpływ wywarł, i pod tym względem zasłużyli sobie na przeważne stanowisko w historji Samuel Fut (Foote) i Dawid Garrick obadwa wielcy aktorzy tamtocześni i zarazem szermierze niezmordowani przeciw francuzkiemu wpływowi. Pierwszy Fut brał wzory z życia ludowego, drugi Garrick swą niezrównaną grą wydobył z pyłów zaniedbania Szekspira, i tem niezmiernie przyczynił się do stargania więzów przestarzałej formy. Były to jednak wszystko dopiero usiłowania, wydobywanie się ducha z ciasnoty na obszerną widownią nieprzebranych skarbów, jakby przygotowywanie się do wydania prawdziwych twórców nowéj epoki w literaturze. Chluba ta przypadła Szkocji, najbogatszéj ziemi w poezją ludową, brzmiącéj pieśnią od najstarożytniejszych czasów, we wszystkich chwilach życia, jakby dzieje swoje nie wypisać ale wyśpiewać pragnęła. Gdzie takie skarby wieki w grubych ułożą pokładach, tam muszą powstać genjusze, aby tchnąć w nie życie, nowym myślom nową nadać postać i popchnąć świat cały o krok jeden naprzód.

Pomijając Allana Ramsaya, Roberta Fergusona i Annę Bernard czerpiących materjały z poezji ludowéj, pierwsze miejsce przynależy Robertowi Burns jako poecie tak zwanemu natury. Był on takim w całéj rzeczywistości, bo urodzony w r. 1759 w biednéj chacie hrabstwa Ayr, sam wodził pługiem po roli, i choć przyciśnięty wielkiem ubóztwem, sam własną siłą umysłu potrafił się wznieść w urocze poezji krainy. Nie biorąc ani jednéj myśli, ani najmniejszéj foremki od Rzymian lub Greków, urodził się poetą, i przejęty cały poezją, żył tylko podniesionem swem uczuciem, niezważając na biedę, często nędzę i zapomnienie. Wolny od wszelkich przesądów, ludzi wszystkich uważał jako dzieci jednego ojca, a więc braci pomiędzy sobą i dla tego kochając ich najczystszą miłością, dla każdego miał braterstwo, miłość i współczucie. To też w utworach jego z pod każdéj litery miłość ta tryska wymownem słowem, prostota wszędzie widnieje owiana powietrzem pól zielonych, wzgórzystych lasów, jakby przemawiał bard z zamglonych wieków, w swéj własnéj szacie w pośród otaczającéj go natury. Mimo tego, siły w nim wiele powściąganéj wrodzoną łagodnością, rzewny jak najnaturalniéj, gwałtowny bez przesady, mocą swego talentu serce łzawi albo je zapala. Z łagodnością i czułością kobiety, łączy głęboką powagę i namiętność prawdziwie męzką, przy łzie zaraz spotkać można grom co jak piorun spada i druzgocze. Czytając poezje jego, czujesz woń natury, zachwycasz się nią, a poetę wielbisz i sercem lgniesz ku niemu. Umarł w r. 1796 bardzo wcześnie z nędzy i cierpienia w trzydziestym siódmym roku życia, naśladowców miał wielu, ale żaden nie dorósł nawet do połowy jego gienjuszu.

Zastęp ten jednak dość liczny wyrosły z pod brzmiącéj lutni Burnsa, był jakby piedestałem dla Walter Skotta, owego reprezentanta bohaterskiéj romantyczności, w tryumfalnym pochodzie przebiegającéj niemal świat cały. Urodzony w Edymburgu w r. 1771, już w szkołach wyjawiał kierunek swego fantastycznego usposobienia, opowiadaniem współkolegom o rycerskich wyprawach i zaczarowanych zamkach. Nie prędko się jednak namyślił do publicznego wystąpienia, i zrobił to dopiero w późniejszym wieku, kiedy wyskoki zbyt działalnéj wyobraźni, zaczyna hamować praca rozumu. Ztąd we wszystkich dziełach jego, odbija się pewien ład i systematyczność, wyobraźnia snuje wątek opowiadania z naturalnością bez przesady i tych chorobliwych wybryków, cechujących pisarzy innych społeczności. Ożywiony szczególną miłością rodzinnéj ziemi, na tle jéj nie nużąc ani nudząc czytelnika, maluje ukochaną sobie Szkocją, jéj dzieje i zwyczaje, i w niéj tylko szuka natchnienia i bodźca dla swéj poetycznéj działalności. Burns był mu tu wielce pomocnym i najdzielniéj się przyłożył do skierowania Walter Skotta na ojczyste pole, wykazując dobitnie sztywność i martwość poetyki Popego. W pierwszéj pracy z jaką wystąpił publicznie, od razu wykazał w niéj rycersko romantyczny kierunek, którego nie opuścił już przez cały czas literackiego swego zawodu.

Pierwsze jego poemata jak Glenfillas, Minstrelowie na granicy Szkocji, Pieśń ostatniego minstrela i Dolina Floddenfield, przyjęte były z wielkim zapałem i na nowego pisarza zwróciły uwagę całéj Anglji. Poematem jednak narysowanym śmiałemi rysami, z potęgą znaczniéj jeszcze podniesioną, z owym rzadkim, poetycznym nastrojem duszy, jest pani Jeziora, którą śmiało nazwać można szkocką narodową opopeją. Autor przedstawia w niéj górną Szkocją i maluje z nieporównanym wdziękiem miejscowe krajobrazy zwyczaje i obyczaje górali szkockich. Wszystkie te prace, jak powiedzieliśmy, ogólne zyskały uznanie, ale talent jego dopiero w powieściach historycznych zajaśniał w całéj pełni swego blasku, którego dotąd nic przećmić nie zdołało. Przez nie to stał się nie tylko ulubieńcem swoich ziomków, ale wszystkich na całym świecie posiadających wyższe cokolwiek wykształcenie. Cały oddany podaniom ludowym, lubujący się w gruzach starych zamczysków, odczuwający ich przeszłość z całym gwarem zamarłego życia, stał się rzeczywistym twórcą nowożytnéj historycznéj powieści i śmiało go można nazwać arcymistrzem. Powieści te przetłumaczone na wszystkie niemal europejskie języki i do nas w przekładzie zawędrowały, i był czas, że stanowiły jedyny materjał książkowy, dla niewielkiéj liczby osób w czytaniu szukających przyjemnéj i pożytecznéj zabawki. W nich bowiem potrafił zlać w jedną całość, wszystkie przymioty powieści historycznej, obyczajowéj i humorystycznéj, a wyobraźnią swą z nieporównanym wdziękiem przesuwając po rodzinnéj niwie, tchnął w nie nowe życie, przedtem zupełnie nieznane. Obdarzony niezmiernie bogatą fantazją, silnem uczuciem, wielką znajomością serca ludzkiego i historji, jasnym poglądem na piękno, pełnym wdzięku układem w przedstawianiu opowiadanéj rzeczy, miał wielu naśladowców, ale żadnego równego sobie pisarza. Jest on poetą lordów i rycerzy, ale zarazem wieśniaków, wyrobników i najniższéj klassy społecznéj. Przedstawiając wyższe postacie w całéj szlachetności, lud maluje farbami niesmiernie poetycznemi, wykazując całą jego dzielność, zacność obyczajów, odwagę, naiwność, poświęcenie, często w piękniejszem od pierwszych przedstawiając go świetle. Było to skutkiem szczególnéj miłości ludu, wniknienie w jego moralne jestestwo, wtajemniczenie się w najdelikatniejsze odcienia jego serca, rozsądku i przesądów, które mimo torysowskiego Walter Skotta usposobienia, nie dozwoliły się

obłąkać jego talentowi, ale przeciwnie użyły go za swego orendownika. Dla dzisiejszego naszego młodego pokolenia, Walter Skott znany jest bardzo mało jako pisarz należący już do minionéj bezpowrotnie przeszłości. Dla tego też rozwiedliśmy się nad nim cokolwiek obszerniéj, aby zachęcić do bliższego poznania się z pisarzem, którego wpływ wywarł zbawienne skutki i na naszą literaturę.

Przed jego bowiewm zjawieniem się, czytanie u nas nader mało praktykowane, ograniczało się u czytelników nie posiadających obcych języków, na niewielkiéj liczbie książek pomiędzy któremi kalendarze przeważne zajmowały stanowisko. Kiedy powieściowa literatura francuzka, zaczeła się otrząsać z więżów klassycznych, przybrała znów barwę przesadzonego romantyzmu, w któych nienaturalność, nadzwyczajność wypadków, bez rozwijania namiętności lndzkich w dramacie przez każdego zrozumiałym, głowną odgrywały rolę. Tłumaczenie takich utworów zaczęło się wciskać do naszego wydawnictwa księgarskiego, które choć ujemnie wpływało na rozwijanie smaku, stanowiło jednak zachętę do czytania. Rozgłos sławy angielskiego pisarza, przecisnął się i do nas, rzucono się więc skwapliwie do przekładów, skutkiem czego, tłumaczenia nędznych powieści zaczęły pomału upadać, bo czytelnicy zachwyceni mistrzowskiemi dziełami Walter Skotta, gust swój do tyla wykształcili, że nie mogli już daléj w licbocie smakować. Zaraz też i u nas zjawili się naśladowcy tego genjalnego powieściarza, a chociaż w układzie znać było niewolnicze trzymanie się formy przez niego stworzonéj, jednak zasługa takich pisarzy jak Niemczewicz, Bronikowski, Bernatowicz i Wężyk, godna zawsze uznania. Oni bowiem pierwsi zwrócili się do żródła miescowego, z którego Walter Skott czerpał materjały, stanowiąc niejako przejście do powieści późniéjszéj, któréj u nas twórcą był bez zaprzeczenia Kraszewski.

Z rozwojem też oryginalnéj powieści, tłumaczenia zaczęły bardzo podrzędne zajmować stanowisko, i to głównie spowodowało, że młode dzisiejsze pokolenie pominęło niejako Walter Skotta, poprzestając na ogólnych wiadomościach o mocy i doniosłości tego znakomitego pisarza. Jak zaś wpływ jego był u nas wielkim, z jakim zapałem rozmiłowano się w jego utworach, najlepiéj świadczyć może upowszechnienie się wówczas mody w ubiorach a la Walter Skott. Noszono duże płaszcze szkockie, kraciaste podszewki, w jaskrawych kolórach kamizelki, spódniczki, słowem materje podobne do używanych na pledy przez szkockich górali. Cała klassa inteligentna, żyła tylko Walter Skottem, a dzieła jego z rąk do rąk, przechodziły po całym kraju. Wielki ten pisarz umarł w r: 1832 wydawszy samych powieści historycznych 74 tomów.

Przejście od Walter Skotta, do Byrona, owego wielkiego poetycznego genjuszu, będącego wzorem dla całéj nowożytnéj romantyczności był Tomasz Mur (More) Irlandczyk urodzony w Dublinie w 1780 roku. Do najpiękniéjszych jego utworów poetycznych, należą Irlandzkie melodje w których poeta czując wszystkie cierpienia rodzinnéj swéj wyspy, wylewa całą duszą bogate sploty żartu, boleści, smutku dumy i nienawiści. Jakkolwiek duch poetyczny Mura nie celuje rysami zbyt ognistemi, uczucie jednak w pieśniach tych jest niezmiernie rzewne, a niektóre ustępy równają się wzniosłości Ossyanizmu.

Chociaż Mur stanowi tylko przejście do Byrona stwarzającego nową epokę w literaturze, ale rzewność jego poetycznego słowa, wiele się przyczyniła, do otrząśnięcia poezji narodowéj z francuzkiego wpływu, co głównem było zadaniem ówczesnych wszystkich pisarzy angielskich. Byron był koroną téj duchowéj pracy narodu, dlatego obszerniéjsze nad nim przedstawiemy uwagi.

(d. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Odczyty naukowe miały tu przez zimę i wiosnę niezmierne powodzenie. Kilka obszernych sal na ten cel przeznaczonych, zawsze były przepełnione, a nigdy nie mogły pomieścić osób pragnącyh z nauki korzystać.

Są one pewnym rodzajem wstępu dla młodych kandydatów do profesorskiego zawodu, pomiędzy któremi ogólne uznanie zyskał wykład p: Maury o cywilizacji angielskiéj. W wykładzie swym profesor nie rozbierał faktów pobieżnie, nie obciążał pamięci słuchaczów zbyt licznemi szczegółami, ale przedstawiał ogólny na wszystko pogląd, sprowadzając zjawiska historyczne do pierwotnych przyczyn i wykazując loiczny związek wyrobów ducha ludzkiego, zarówno piórem jak mieczem wpisującego się na kartach historji. Jest to więc wykład więcéj filozoficzny, i taki głównie powinien być przedmiotem wszelkich odczytów o rozwoju literatury. Na tym obrazie malowanym słowami, punkta głównie oznaczają się genjuszami myśli pisanéj, jako twórców nowéj szkoły lub zwrotu całéj literatury. Przy nich jako przy słońcach, grupują się tylko niektóre postacie, konieczne do uchwycenia nitek, łaczących jeden wiek z drugim, i wykazujące wpływ jednostek na ogół, a ogółu na jednostki, którym w darze dostała się potęga słowa. Jeżeli podobne obrazowanie, ożywi jeszcze prawdziwy telent nie goniący za próznym brzękiem, ale umiejący zbierać słowa w uroczéj krainie poezji, i podawać myśli słuchaczom jak wiązanki wonnych i barwnych kwiatków, wówczas wykład nabiera niezmiernego znaczenia, bo nie tylko nęci i zajmuje, ale co ważniejsza utrwala się w pamięci słuchaczów.

Treść innych konferencji była pardzo rozmaita, największą ich część stanowiły studja nad pracami pisarzy teraźniéjszych lub należących do przeszłości, w rodzaju tych jak to uskutecznił pan Felicjan Faleński nad Janem Kochanowskim. Pożytek podobnych odczytów widoczny i o wiele wyższy od wykładów więcéj ogólnych, streszczających niejako całą naukę. Wprawdzie to uogólnienie nauki daleko łatwiéjsze od szczegółowych studji, wymagających osobistéj pracy wykładającego, obszernego oczytania, i wniknienia w ducha epoki z któréj jeden pisarz wzięty został pod rozbiór, ale tutejszym profesorom właśnie idzie nie o próżny popis głoszenia z katedry słów pochwytanych z dzieł już należycie opracowa-

nych, ale o przedstawienie słuchaczom owoców własnéj pracy, prowadzonéj po drodze dotąd obcéj i nieznanéj. Tu to dopiero ujawnia się cały zasób myśli wykładającego, jego wiedza i talent, nic więc dziwnego, że Paryżanie spieszą tłumami na podobne odczyty. Na jednym z nich, mianym o Janie Jakubie Rousseau, ciekawych zebrała się ogromna liczba, tak że w sali prawie poruszyć się było niepodobna. Mówić o tym pisarzu, jest to samo co podźwignąć najżywotniejsze kwestje filozoficzne i społeczne, trudność więc była niezmierna, tymbardziéj że przedmiot ten był już poprzednio traktowany przez takich kolosów jak Villemain i St. Marc Girardin. Profesor p. Albert wywiązał się z zadania zwycięzko. Rousseau powstał w całéj potędze swego genjuszu łączącego mniemane zaparcie się, z próżnością, dumą i słabością.

Pomiędzy słuchaczami znajdowała się także pani Sand, którą przy wejściu publiczność powitała żywemi oklaskami. Mówca przedstawiając wpływ jaki Rousseau wywarł na znakomitych pisarzy, jak Bernardin de Saint Pierre, Chateaubriand, Lamennai, wymienił także z należną czcią nazwisko pani Sand, ale zaraz dodał pospiesznie, że wpływ ten o tyle wywarł swoje działanie, o ile tak wielki talent mógł mieć nauczyciela.

Pani Sand skromnem skinieniem podziękowała, a grzmot oklasków był dowodem, że zebrana publiczność podzielając wyrzeczone zdanie, umie ocenić prawdziwą zasługę.

Kiedyś w obszerniejszéj treści przedstawię wykład p. Alberta,— o innych nawet pobieżnéj nie dam wiadomości, bo musiałbym tomy całe napisać, aby z niemi bliżéj zapoznać Czytelniczki Tygodnika. Że i pod względem wykładów Paryż przewodniczy innym stolicom, nic w tém dziwnego, jeżeli zważemy zasób skarbów naukowych jakie się mieszczą w rozlicznych zbiorach, muzeach, gabinetach i bibljotekach. W nich każdych pracownik pióra, znajduje nieprzebrane materjały zerówno uczące jak posługujące do nauki. Pomijając bibljoteki przystępne dla wszystkich, każda nauka niemal w stosownych okazach, uprzytomnioną jest w całym swym rozwoju od najdawniejszych czasów.

W muzeum np. marynarki, w modelach znajdują się statki, łodzie, okręty wszystkich prawie ludów nadmorskich, od galer fenickich, rzymskich, greckich, kartagińskich, aż do ogromnych parowców, odrobionych z największą dokładnością ze wszystkiemi szczegółami najbardziej drobiazgowemi. Obok tego, na obszernych blatach mieszczą się całe porty wyrobione z papki papierowéj, z domami, drzewami, drogami, ulicami i przystanią, z tak ułudną prawdą, że patrzącemu zdaje się iż jest na miejscu. W muzeum artylerji, po szafach nagromadzono przeróżną broń także od czasów najdawniejszych, sztylety, jatagany, szpady, pałasze, miecze, pistolety, strzelby, karabiny, spisy, dzidy, lance, a w środku jednego salonu, pomieszczono w naturalnéj wielkości, rycerzy średniowiecznych na koniach, całych wraz z rumakiem okrytych zbroją, i zdających się w milczeniu posuwać naprzód. Pomiędzy zbiorami archeologicznemi, nie tylko znajdują się różne pamiątki ludów starożytnych, posągi, bałwany, czary, miski, pierścienie, zausznice i inne ozdoby, ale nadto zgromadzono ubrania i uzbrojenia wielu najdzikszych ludów, ich szałasy, chaty, domki, nieznane nam tkaniny, ceremonjalne stroje naczelników, a nawet głowy z gipsu dla wykazania różnicy jaka w rysach i układzie ich zachodzi w stosunku do Europejczyków. W ogrodzie zoologicznym, widzieć można wszystkie niemal zwierzęta i ptaki żywe, utrzymywane jak najtroskliwiéj i karmione stosownie do swego usposobienia. Dziksze mieszczą się w klatkach nader obszernych, łączących się z zimowem ich legowiskiem: spokojne przechadzają się swobodnie w przegrodach a ptastwo wodne buja po stawach lub przesiaduje na nadbrzeżnéj murawie. Tuż zaraz znajdują się gabinety anatomiczne, ze szkieletami rozmaitych zwierząt systematycznie ułożonemi od kolibra aż do wieloryba, aby można było widzieć różnice jakie zachodzą w wewnętrznym ich układzie. Niezapomniano w nim także o ludziach, a niektóre okazy zrobiono z papki, dla uwidomienia całego wewnętrznego organizmu. Daléj idzie akwarjum przedstawiające dna morskie z różnemi stworzeniami wnich przebywającemi, gabinet z drzewami całego świata, obejmujący każdego osobno liście, korę, kwiat, owoc, przecięte pnie, popiół, węgle: w geologicznych obrazach oddano różne pokłady ziemi nad kopalniami złota, srebra, węgli kamiennych, żelaza i t. p. Pomijamy tu galerje obrazów, fabrykę gobelinów, które na pierwszy rzut oka wziąłem za pyszczne malowidła. Pomijam również ogród botaniczny, aklimatyzacyjny, zbiory monet, modeli, pamiątek historycznych, wyrobów z różnych wieków i różnych narodowości, wszystko ułożonych wiekami, porządnie, systematycznie, których tak wielka jest ilość, taka rozmaitość, że patrzącemu zdaje się być w jakiejś zaczarowanéj krainie, owianéj powietrzem dwudziestu wieków.

Pałac królewski w Wersalu o cztery mile polskie odległy od Paryża, wszystkie ściany swoich licznych i obszernych salonów, założone ma obrazami przedstawiającemi główne sceny z historji Francji, od czasów najdawniejszych aż do obecnych. Wszystkie wykonane przez najsławniejszych malarzy, zalecają się nie tylko mistrzowskiem wykonaniem, ale i wyborową kompozycją, przy małem objaśnieniu będącą jakby żywem słowem dziejowem, uplastyczniącem minioną przeszłość. Objaśnienia idą tradycją od pokolenia do pokolenia, ojciec objaśnia synowi i tak następnie, a obecne fakta tłumaczy świadek ich zawsze znajdujący się w pośród tłumu. Tym sposobem historja Francji, łatwiéj upowszechnia się w narodzie, wtajemnicza się w jego myśli, rozjaśnia pojęcia i przywiązuje. Obok tego wszystkie ogrody publiczne, ozdobione są kamiennemi figurami znakomitych Francji postaci, życiem swem zaszczytnem i pożytecznem dla społeczności zasługujących na uwiecznienie.

Wszystkie te muzea i gabinety o jakich wspomniałem, jako otwarte dla publicznego użytku, zawsze są przepełniane tłumami ciekawych, i to nie z klassy tylko tak zwanéj inteligentną, ale z rzemieślniczéj, wyrobniczéj i rolniczéj, pomiędzy któremi wielu uwija się żołnierzy i majtków z marynarki państwa, chętnie dających objaśnienia tego co sami znają lub naocznie widzieli.

Pogadanka Tygodniowa

Gdyby przyszło wszystkiemu wierzyć co piszą Gazety, a szczególniéj wiadomościom na przypuszczeniu i pogłoskach opartym, dziś głoszonym za prawdy nieomylne, a jutro obcinanym, zbijanym, wyjaśnianym, przerabianym i przeinaczanym, możnaby na prawdę dostać obłędu, lub stracić zupełnie chęć do czytania. Na szczęście czytająca publiczność nie jest tak łatwowierną, przyjmuje wszystko z wdzięcznością, zastanawia się, roztrząsa, robi wnioski i przypuszczenia, ale w końcu wszystkiemu w tyle wierzy, co nieomylnym środkom niegdyś przez Kalendarze głoszonym. Gdyby podawano same fakta pewne i dokonane, mniejby się psuło papieru, mniejby było zamięszania w pojęciach i mniéj marnotrawstwa w wydatkach gazeciarskich.

Zachodzi tylko pytanie, czy publiczność pozbawiona tak żyznego gruntu do długiéj gawędy, byłaby zadowoloną? Ciekawość jest także nałogiem, w rodzaju przyzwyczajenia się do spirytualnych napojów, tytoniu i tabaki, potrzebuje więc koniecznie stosownéj strawy, choćby nie zawierającéj w sobie ani szczypty prawdziwego pożytku, choćby odurzała do szaleństwa, a kręciła w nosie gorzej od ciemiężycy. Brnijmy więc daléj po tem nieplennem polu dawnych nawyknień, przyzwyczajając jednak głosem opinji publicznéj, do większéj ogledności w podawaniu wiadomości niepewnych, nieuzasadnionych a nawet czasami niepodobnych do prawdy.

Pomijając politykę, stanowiącą prawdziwą łamigłówkę, dla zawziętych dyplomatów Saskiego ogrodu, zwyczajne inne wieści, w takiejże saméj najczęściéj bywają kute kuźni. Iluż to ludzi umorzono przez Gazety, najlepszem dotąd cieszących się zdrowiem? Ileż zrobiono doniesień, sprostowanych nazajutrz, a ileż równie fałszywych pokryto milczeniem? Spis wszystkich tych potknień dziennikarskich byłby bardzo ciekawym a nawet niezmiernie skutecznym na zwalczenie ciekawości ogółu, który przepadając za nowinkami, zmusza niejako do ich wyrabiania, choćby ważnych tylko na dobę. Niedawno np. mieliśmy doniesienie, że w burzach gradowych zwykle o téj porze przytrafiających się, w jednem miejscu spadł grad wielkości leśnych jabłek; w drugiem jak kurze jaja. Wprawdzie zdarzają się wypadki spadku pojedynczych kawałów lodu podobnie nadzwyczajnéj wielkości, ale żeby każde ziarno gradowe miało być tak duże jak jabłko lub jaje, temu niepodobna uwierzyć. Znam grady z własnego doświadczenia; wielkości tureckich orzechów, niszczyły odrazu całoroczną pracę rolnika, większe więc o dziesięć lub dwadzieścia razy, rzucane na ziemię gwałtownością burzy, poprzebijałyby gonty i dachówki nawet ściany, połamałyby młodociane drzewka, cieńsze gałęzie, płoty, pozabijałyby ludzi i zwierzęta, słowem sprawiłyby zniszczenie, zamieniające osady w pustynie. Doniesienie więc jest nieprawdopodobne, bo jak jedna jaskółka nie stanowi wiosny, tak i jedno ziarno gradowe choćby jak kula armatnia, nie upoważnia do wniosku, że wszystkie miały podobne rozmiary.

W innem znów miejscu wyczytałem, że w Paryżu jeden z uczonych, podnosi wniosek poprzednio zrobiony, a stopniowem wolnieniu biegu i obrotu ziemi. Na czem to przypuszczenie opiera, korrespondent nie objaśnia. Za jednem tedy pociągnięciem pióra goniącego za nadzwyczajnościami i nowostkami, postrzeżenia i nauka z wieków na wiek spływająca, dawna jak świat, któréj początek z pomroki czasu wysnuwa się razem z podaniami poprzedzającemi historyczny rozwój społeczności, rozpada się w gruzy i schodzi do zera. Wprawdzie być może, że ziemia kiedyś zaprzestawszy wirować w bezdennéj przestrzeni, zatrzyma się w miejscu i stanie jak przybita gwoździem, ale ogłaszając podobne przypuszczenia, należy koniecznie podać przynajmniéj główniejsze zasady, na jakich są oparte. Świadomość ich choć nie przekona, zawsze jednak przyniesie pożytek, tak zaś rzucane bez żadnych objaśnień, osłabiają wiarę w zdobycze rozumu ludzkiego i potęgę nauki wystawiają na szwank, zamykając ją w kółku wiecznych błędów, przypuszczeń i zawodów.

Ponieważ dziennikarstwo całego świata, nie prędko pojmie ważność i godność swego przeznaczenia, i dopiero ze zmianą usposobienia ogółu i jego postępu, samo także ulegnie zmianie, więc podniesioną kwestją zamykam, a chwytam wiadomostkę bardzo ważną przez dzienniki ogłoszoną, godną ze wszech miar jak największego upowszechnienia.

Otóż te donoszą, że syn cesarza Napoleona, pomimo świetnéj przyszłości, jaka zdaje się go czekać, uczy się sztuki drukarskiéj, żeby mógł zostać dobrym i wykwalifikowanym zecerem. U nas jeszcze do dziś dnia, wszelka praca ręczna nadzwyczaj jest lekceważoną. Wielu ludziom zdaje się, że młot ubliża, szydło hańbi, igła ośmiesza, pilnik plami; że zostać rzemieślnikiem jest to upaść gorzej jak z pieca na łeb, bez ratunku i współczucia i lepszy głód, nędza i wieczna poniewierka, jak obfitość przy nikczemnym warsztacie. Takie pojęcia dziś jeszcze nie są białemi krukami, a jednak znam panów o kroćiowym majątkach, nagle w świat rzuconych bez grosza, tylko żyjących z robienia papierosów. Gdyby posiadali znajomość choć najprostszego rzemiosła, wprawiwszy się w niego chleba mieliby po uszy, gdy na papierosach zaledwie ratują się od głodnéj śmierci. Przyszłości

swojéj nikt nie odgadnie, los różnie ludźmi rzuca, starajmy się więc zabezpieczać, na wszelkie jego przypadłości. W Warszawie dla młodzieży wszystkie rzemiosła służyć mogą do wyboru, na wsiach niech uczą się stolarstwa, kowalstwa, szewctwa, ogrodnictwa, bartnictwa, młynarstwa, tkactwa, a nawet robót włościańskich, nie koniecznie dla zarobku z nich w przyszłości, ale dla rozwinięcia sił fizycznych i całéj budowy ciała.

Janek z Bielca doskonale niegdyś buchał cepami, ciął kosą i sierpem, kopał rydlem i motyką, woził taczkami, grabił siano, kopił, śmigał snopkami w zapole, to też mimo stolikowéj od lat kilkunastu pracy, nie wygląda wcale papinkowato, wywiędle i zasuszenie.

Młodzieży podobnéj więcéj do kwiatka, jak do młota nie brak u nas niestety! Zapominamy często żeśmy wszyscy jak pszczoły w wielkim ulu społecznym, obowiązani pojedynczo do pracy.

O UBIORACH

Nowości zagraniczne.

Suknie krótsze od spódniczek zaczynają się coraz więcéj upowszechniać, nie ma bowiem nic niedogodniejszego w podróży, na wiejskie spacery, na rano do wód i kąpieli jak suknia długa, plącząca się i zawadzająca w chodzeniu.

Paletoty wcinane do figury, niewychodzą z użycia, osoby jednak lubiące wyróżnić się ubraniem, przekładają paletociki wolne z kaszmiru czarnego naszywane perełkami żetowemi, albo paletociki greckie zwane: *peplum*.

Do sukien negliżowych z piki, brylantyny i *toile de chèvre*, robią także kaftaniki krótkie i luźne z tego samego materjału, jak naprzykład: Suknia z piki koloru kukurydzy bardzo krótka, objęta u dołu skosem aksamitnym czarnym i takim samym węższym nieco wyżéj, miała paletocik wolny wycięty w zęby, jak również pikową spódniczkę w zęby z takimże objęciem. To samo ubranie powtarzało się na kieszeniach i rękawach.

Pod paletocik przeznaczona była bluzka żaknotowa szamoa w czarne paseczki.

Suknia z białego moheru w czarne kropki, wycięta była w zęby okrągłe, objęte pliską czarną jedwabną z białą wypustką. Zęby te zdawały się być nadzwyczaj głęboko wycięte, gdy tymczasem sama pliska zachodziła tylko wysoko. W każdym zębie u dołu naszyto guzik czarny z białą gwiazdką w środku. Takież guziki zdobiły kieszenie, epolety i mankiety przy rękawach.

Suknie muślinowe białe czy to gadkie lub w rzucik, w paski albo groszek, podszywają najczęściéj kolorową materją i razem przymarszczają do stanika z rękawami, na takiéj saméj podszewce.

Suknie te niekiedy garnirują ruszą ze wstążki obszytéj brzegami wąziuchną walansienką, marszczonemi bufkami lub wstążką gazową.

Noszą też bardzo do strojnego ubrania suknie białe z lenosu lub grenadiny na jedwabnych kolorowych: niebieskich, *mais*, lilla, fijołkowych i zielonych. Zwierzchnia suknia krótsza jest od spodniéj albo wzniesiona w rozmaity sposób. Spódniczka zwykle zakończona gładkim obrębem, suknia garnirowana u dołu.

Paletocik *peplum* bywa z materjału sukni albo też z takiéj materji jak spódniczka, czasami nawet bez rękawów; w takim razie widoczne są rękawy muślinowe od bluzki lub od stanika sukni. Wygląda to dosyć dziwacznie i dla tego nie zalecamy téj nowości Czytelniczkom naszym do ubrania na ulicę.

Podobała się nam między innemi suknia biała muślinowa na spódniczce jedwabnéj fijołkowéj, nie zbyt ciemnéj barwy, wzniesiona i przytwierdzona z wierzchu rozetami z fijołkowéj materyi. Na takiż sam stanik pod szyję z długiemi rekawami, wkładał się kaftanik krótki muślinowy z epoletami, lecz *bez* rękawów.

Do sukien wyciętych jedwabnych, używane są bardzo kaftaniczki koronkowe albo z gipiury białéj. Jest to ubranie stosowne do teatru albo na wieczorne zebranie.

Do wyjścia na ulicę dla osób starszych, zawsze najwłaściwsze burnusy, chustki koronkowe i paletoty; dla młodych zaś panienek mantylki szalikowe rozmaitéj wielkości i kształtu.

Kapelusze noszą tak małe, że zaledwie wierzch głowy pokrywają.

Robią je w kszałcie róży z fałdowanéj krepy różowéj, albo wybierają kwiaty duże umyślnie na ten cel

robione, jak georginje, piwonje lub róże centyfolje, co stanowi cały kapelusz. Kwiat taki wkłada się jakby w gniazdko tiulowe i brzegiem obejmuje pasmanterją ryżową z grelotkami. Od boków spadają szerokie szarfy z krepy albo illuzji do wiązania pod brodą.

Kapelusze *Lamballe* z białéj illuzji zdobią sznurem z drobnych morw, girlandką z kwiatów, łańcuszkami z kryształu albo lawy, liśćmi bluszczowemi, gronami i jagodami czerwonemi. Do kapeluszy z ryżowéj słomy fantazijnéj, zwykle używają czarnéj koronki i wstążki czarne. Za całą ozdobę służy kilka kłosów albo róża z boku wpięta.

W czasie upałów zawsze jednak kapelusze okrągłe bardzo są chętnie noszone. Szwajcarskie z dosyć dużemi rondkami otaczają girlandką albo welonem krepowym związanym z tyłu; marynarskie z włoskiéj słomy opasują czarną wstążką morową lub aksamitką, inne nareszcie ciemno brązowe przystrojone są brzegiem szlakiem z piór kapłonich. Dodać jeszcze należy, że toczki ryżowe rozmaicie przybrane, ciągle się utrzymują.

Bluzki białe z klarownego muślinu naszywają z przodu szeroką listewką płócienną do zakładania guzików perłowych lub innych według upodobania. Kołnierzyk, mankiety i naramienniki również są płócienne.

Jako nowość pominąć nie możemy bluzek z czarnego tiulu na czarnym staniku, jak również gorseciki czarne tiulowe do białych bluzek.

Kołnierzyki z cienkiego holenderskiego płótna zdobią haftem z trzech różnych ściegów złożonym, który tworzy bukiety albo girlandkę w około kołnierza ze spiczastemi końcami.

Między czepeczkami panuje wielka rozmaitość, jedne składają się z denka koronkowego, drugie z barbek skrzyżowanych nieco z tyłu i z różą na boku; inne nareszcie z koronki wijącéj się do koła na różowym rulonie z kwiatem albo rozetą ze wstążki na środku. Wszystkie te czepeczki przypominają kształtem tegoczesne kapelusze. Są to ubiorki dla mężatek. Panienki kontentują się wstążeczką, aksamitką albo gałązką kwiatów do strojnego ubrania.

Opis wzorów sukien, kapeluszy i ubrań dla dzieci.

N. 1. 2. Łańcuszki z czarnych perełek i sieczki do ozdoby ubiorków na głowę, kaftaników, bluzek i t. d. Do utworzenia tych łańcuszków najlepiéj użyć 2 nitek kordonku albo cienkiego drutu, który się bierze do robienia kwiatów.

N. 3. Bluzka muślinowa wyszyta czarnym jedwabiem ściegiem pocztowym, ozdobiona guzikami lawowemi i paskiem muślinowym z takąż rozetą. Bluzka krajana tylko do stanu przymarszczona jest do paska, który się nakrywa dubeltowym paskiem haftowanym 5 centymetry szerokim. Karoczek osobno się przymarszcza do paska i wpuszcza pod suknią. Bluzki takie wyszywane, zarówno noszone z nanzuku, kaszmiru i alpagi; bez wyszycia ale tym samym fasonem zaczynają wchodzić w użycie bluzki, półbatystowe, perkalowe i płócienne w paski kolorowe lub drobny rzucik. Suknia powinna być odpowiednia do koloru pasków lub tła.

N. 4. Suknia do podróży, na wiejskie ubranie i do wód. Spódnica z szaréj alpagi wycięta u dołu w okrągłe zęby, objęte brązową materją. W każdym zębie guzik lawowy ze sznurkiem jedwabnym dubeltowo złożonym, który naśladuje dziurki obdziergane. Paletocik lekko wcięty do figury, dłuższy cokolwiek na przodzie i z tyłu, aniżeli na bokach. Rękawy płaskie, zwężone jeszcze bardziéj przy rękach. Suknia krótsza od spódniczki białéj z falbanką rurkowaną. Kapelusz słomkowy opasany krepą. Parasolka brązowa.

N. 5. Kapelusz, *Lamballe* z białego tiulu, garnirowany brzegiem blondyną i girlandą z jasnych pojedynczych kwiatków habru. Wstążka koloru kwiatów, otacza przez środek kapelusz i spada w długich końcach do wiązania pod brodą.

N. 6. Kapelusz, „*Tyrcys*” z czarnego tiulu układany w fałdki, nadzwyczaj jest mały i w kształcie płaskiego talerzyka. Brzeg kapelusza otoczony rodzajem przepaski, naszytéj perełkami czarnemi do któréj przypięta róża różowa z lewego boku. Szarfy podwójne: z czarnéj wstążki jedwabnéj i tiulu czarnego, który przechodzi przez środek głowy.

N. 7 Kapelusz „*Fanchon*” słomkowy *(paille de phantaisie)* ubrany girlandką z ciemnych winogron. Szarfy słomkowego koloru.

N. 8. Pasek rypsowy albo morowy może być w kolorze: niebieskim, fijołkowym, zielonym, różowym, albo czarnym stosownie do barwy sukni. Brzeg z obydwóch stron naszyty koronką kluny, w środku zakończony klamrą medaljonową. Klamrę zastąpić można rozetą z fałdowanéj wstążki, kóréj brzeg obszyty koroneczką kluni.

N. 9. *Ubranie ślubne.* Suknią tę można urządzić kosztownie i bardzo tanio, zależy to od materjału i przyborów jakie wybierzemy. Wzór nasz przedstawia sukknię *z poult de soie* białego ze stanikiem wyciętym. Na wierzchu spada tunika grecka tiulowa, oszyta koronką. Stanik tiulowy lekko marszczony, opasany jest wązką wstążką w stanie; rozeta z tejże wstążki wraz z puklami spadającemi uzupełnia pasek. Rękawy wązkie odpowiednio mają garnirowane epolety i mankiety. Welon burnusowy długi i szeroki bez żadnego obrębu, przymocowany jest do głowy wieńcem mirtowym.

Bardzo ładnie i swieżo wygląda tak samo zrobiona suknia muślinowa; do tuniki zamiast koronki, użyć można muślinową ruszę, plisę ułożoną *à la vieille*, albo też tylko obrąb szeroki podwleczony wstążką.

N. 10 Beduina-Talma z kontrafałdem na plecach dla dziewczynki od 8 do 10 lat. Robiąc okrycie z rypsu, popeliny, flanelki albo kaszmiru, kraje się go z tyłu w całości wzdłuż idącego materjału albo też skośno, zeszywając przez środek, chociażby wyrób był w pasy albo w kratę. Od szyi aż do fałdu okrycie ozdabia się sznurem albo pasmanterją. Brzegi wzdłuż przodów podszyte są materją 4 centymetry szeroką, u dołu daje się obrąb z marterjału okrycia. Wykrój u szyi objęty wypustką. Sukienka z gładkiéj alpagi. Toczek biały ryżowy obłożony czarnym aksamitem.

N. 11. Beduina dla dziewczynki od 9 do 12 lat z popielato liljowéj elastyny, zaokrąglona z przodu. Na środku pleców dają się kokardy z tego samego materjału, ob-

jęte białą wypustką i ozdobione guzikami. Na zrobienie beduiny takiéj potrzeba 260 centymetrów materjału, 75 centymetrów szerokiego. Suknia z białéj popeliny w pasy lila. Kapelusz popielaty, jedwabnym sznurem opasany.

N. 12. Ubranie chłopczyka od 4 do 6 lat z popielatego korciku. Wyłogi około całego kaftanika zrobione są z tego samego materjału, zęby objęte pletnią i naszyte guzikami stalowemi. Kamizelka przypina się naokoło do majtek, które przy kolanach ściągnięte są na elastykę, a brzegiem wycięte mają ząbki. Kapelusz czarny kastorowy. Buciki. wysokie kozłowe okładane lakierem.

N. 13. Paletocik z jasno popielatego korciku zupełnie przystający do figury, przybrany pasmanterją i kwastami jedwabnemi w popielatym kolorze. Suknia z wełnianego fularu czarnego w kółka karmazynowe. Toczek ryżowy obłożony aksamitem, przystrojony piórem. Na zrobienie paletota potrzeba korciku 135 centymetrów, 130 centymetrów szerokiego.

N. 14 Paletocik luźny z białéj flanelki objęty naokoło wypustką. Sukienka z gładkiéj szafirowéj popeliny naszyta u dołu skośną pliską z czarnéj materyi 3 centymetry szeroką. Kapelusz ryżowy albo czarny kastorowy.

Na żądanie prenumeratorów Redakcja dostarczyć może formę bluzki przedstawionéj w rysunku, beduiny talmy, ubrania całego dla chłopczyka, paletocika wcinanego i luźnego, za opłatą kop. 45 do 60.

ROZMAITOŚCI.

KWIATY I OWOCE.

(Dalszy ciąg).

Żardynierka. Gdyśmy ubrali kominek i półki pozostaje nam w pokoju dosyć jeszcze miejsca na kwiatki. Dla każdego lubownika kwiatów, niezbędnem jest sprzętem Żardynierka, czy to wypleciona w kliny koszykową robotą, czy też z galwanizowanego drutu. Nie można myśleć o wyhodowaniu kwiatów w żardynierce, sadzą się w nią tylko kwiaty wyhodowane gdzie indziéj na krótki czas ich kwitnięcia, ale można zdobić ją kwiatami rozmaitego rodzaju.

Smutna to rzecz dla osoby zamiłowanéj w ogrodnictwie pokojowem, patrzeć jak wątleją i nikną ulubione jéj rośliny. Nie możemy tu wchodzić w szczegóły hodowania wszystkich kwiatów, które mają zdobić żardynierkę; weźmy tylko na uwagę trzy najpiękniejsze ich rodzaje: Kamelje, Wrzosy (Erica) i Begonie.

Kamelja. Od wprowadzenia jéj do Europy przez doktora Kamel missjonarza angielskiego w r. 1739, roślina ta tyle wydała odmian w oranżerjach Europejskich, że dziś piękny zbiór liczy do sześciuset kamelji, zupełnie różniących się od siebie. Nie możemy wyliczać ich wszystkich szczegółowo, wskażemy tylko ogólne przepisy w ich hodowaniu. Mówiliśmy już że nie trzeba nigdy podlewać kamelji za nadto zimną wodą; pamiętajmy też o tem, że dopóki nie marznie w pokoju gdzie je zachowujemy, dopóty mają dla siebie dostateczne ciepło. Nagłe przejście z chłodu do gorąca, w pokoju mocno opalonym w dzień, a wystudzonym w nocy, bardzo dla nich szkodliwe, i z tego to powodu kamelje kupione w pączkach rzadko kiedy zakwitają w pokoju. Ponieważ kamelje wychodzą z chłodnéj oranżerji, powinniśmy je zachować w pokoju nie opalanym wcale lub bardzo mało, dopóki ich pączki, które się bardzo wolno rozwijają, nie będą zupełnie gotowe do rozkwitu. Wówczas dopiero możemy je pomieścić w żardynierce salonowéj.

Kamelja po okwitnięciu wydaje młode odrostki, które dosyć spiesznie wyrastają. Aby wzmocnić, trzeba wyjmować doniczki z żardynierki, i stawiać je na balkonie, kiedy temperatura na to pozwala. Podczas wielkich deszczów i burzy, lepiéj je wnosić do pokoju, aby ziemia w doniczkach nie była do zbytku zmoczona. Co rok lub dwa lata, trzeba im zmieniać ziemię, powiększając doniczkę w miarę ich wzrostu. W takim razie co rok pokryją się pięknym kwiatem, i będą prawdziwą ozdobą żardynierki. Kamelja znosi wybornie atmosferę mieszkalnego pokoju, i właściwie hodowaną, może trwać bardzo długo.

(d. c. n.)

KORRESPONDENCJA.

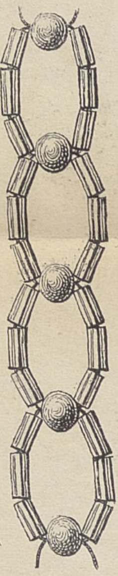
Pani Wołod. w Twerze. Beduina korcikowa kosztować będzie rs. 24. Buciki rs. 2 kop. 50. Po odebraniu pieniędzy przesyłka wyprawioną być może za dwa dni.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

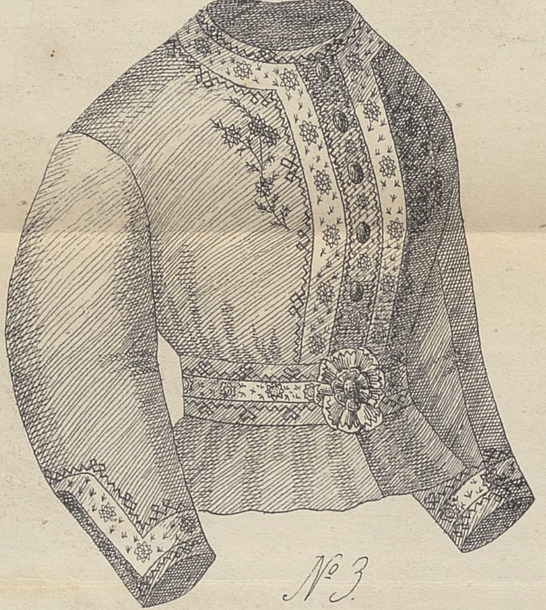
Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z wzorami sukien, kapeluszy i ubrań dla dzieci.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

TYGODNIK MÓD
w Warszawie.
Nº 173.


Nº 1 Łańcuszek Benoiton z sieczki i pereł.

Nº 2 Łańcuszek Benoiton z sieczki i pereł.


Nº 3. Bluzka muślinowa.


Nº 4. Suknia do podróży z szarej Alpagi.

Nº 8 Pasek z okrągłą klamrą.


Nº 5. Kapelusz „Lamballe" Nº 6 Kapelusz „Tyrols" Nº 7 Kapelusz „Fanchon"


Nº 9. Ubranie do ślubu.


Nº 10. Beduina dla panienki od 8u do 9u lat. Nº 11 Beduina dla panienki od 9u do 12u lat. Nº 12 Ubranie chłopczyka od 4u do 6u lat. Nº 13. Paltocik wcinany dla panienki od 9u do 12u lat. Nº 14 Paltocik dla dziewczynki od 7u do 10. lat.

Dodatek do Nr. 30 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 16 (28) Lipca 1866 r.

NAJPIĘKNIEJSZA.

(Dalszy ciąg.)

DOKOŃCZENIE LISTU ZOFJI DO CIOTKI.

Biedna pani Bronowiczowa! Cioteczce wiadomo, że mąż jéj uległ nieszczęściu wielkiemu: że jest po za domem już blizko od roku. Pozostała się sama na dzierżawie swojéj z trojgiem dzieci, z których najstarsza córeczka ma rok dwunasty dopiero. Wioska nieduża, ależ biedna, sama nie może zaradzić wszystkiemu. Ojcuszek dopomaga jéj w niejednem i pan Krzeszowski także. Biedaczka! męża kocha bardzo, i bardzo tęskni. Wynędzniała, że aż serce boli patrzeć. Tylko ją obowiązki matki powstrzymują. Boże, zeszlij jéj pociechę!

Po Ś. Michale, wybieramy się do Cioteczki kochanéj z mamą, na cały tydzień. Ojciec nas odprowadzi, ale, jak zapowiedział, dwa dni tylko zabawi.

Ucałuj Cioteczka swoje chłopiątka odemnie.

Mateczka pisze także.

Całuję rączki!

przywiązana siostrzanka

Zofja.

EMMA KRZESZOWSKA DO KUZYNKI SWOJÉJ MELANII.

Zaintrygował Ciebie pan Zbigniew, *ma pétite Melanie!* Zapytujesz o niego tak szczegółowo, *comme si c'était un guet à pens*: chcesz mnie podejść, Filutko! *Mais pas si bête!...* Domyśliłam się, że i do Ciebie już doszły owe gadanki: że pan Zbigniew, wprzągł się do rydwanu mojego i radabyś wiedziała *ce qu'il en est.*

Otóż i żart na stronę, a będę szczerą i otwartą.

Pan Zbigniew częstym u nas jest gościem i..... być może, że....... że....... że nie powie, iż jestem brzydką. Mniemam nawet, że czytam w jego oku *tout à fait le contraire.* Ale dotąd jeszcze i jednem nie zdradził się słowem.

Co do mnie?..... Hm!...... Patrzę się na niego, jak na wielu innych, chociaż go cenię wyżéj od wielu innych.

Pan Zbigniew jest przystojny: wysoki, zręczny, ma wąs ciemno-płowy, a oczy szafirowe i wcale niebrzydkie. Włosy nosi niewymuszenie, i ubiera się z elegancją: z elegancją *du meilleur génre*, bez nastręczenia uwagi, że mu o to chodzi. Mówi ładnie po francuzku, nieco po angielsku i dobrze po niemiecku, bo przecież był w *Hohenheim'ie*.... Ale też ten nieszczęsny *Hohenheim* hreczkosieja z niego zrobił. Wyobraź sobie, że po godzin parę o roli, o gospodarstwie, *et qu'en sais-je moi* rozprawiać potrafi!..... Sam trudni się wszystkiem: wie o każdym wole, o każdem cielęciu..... *que c'est un horreur!*

Zajął się też pierwéj oborą, stajnią.... aniżeli dworem, w którym wszystko tak pozostało stare, jak było za stryja. Książek tylko coś tam sprowadził nowych, ale nie wiem czyli ma czas do czytania!

W niedziele i święta łączy się zwykle z towarzystwem naszem, jak to dawniéj i pan Mateusz czynił.

Zebrania te z małą różnicą, są także zawsze jednakie *L'ennui y regne*, bo rzeczywiście przyjemna rozrywka ożywia je rzadko. Są wszelako o wiele znośniejsze odkąd młodego mamy sąsiada.

Pan Zbigniew wszelako i w dni powszednie, pod wieczór, z pola niekiedy zawita — konno, albo téż zgrabniutkim karyklem. Lecz wtedy zwykle jest opylony, ogorzały — *un gentilatre campagnard.*

Z nim i konwersacja byłaby wcale interesującą, bo *wojażował* dosyć, bywał w towarzystwie lepszém i czytał wiele. Ma i sąd wyrobiony, tylko że nie zawsze jednego jesteśmy zdania — a te jego *jakieś frazesa* o pracy i oszczędności brzmią niezmiernie *trywialnie.*

Ojciec przytakuje mu, a mama twierdzi, że pan Zbigniew wielki zrobi majątek.

To téż pan Zbigniew wielce wszędzie jest chwalonym.

Dla pana Dobrosławskiego jest on *un demi-dieu.*

Poczciwa Zosia w nim także widzi *perfekcją.* Dobra dziewczyna — szkoda, że nieładna! Nudzi mnie czasem, ale ją kocham.

Zresztą, jak zawsze, nudy i nudy wszędzie!.. Rozpoczną się żniwa — najnudniejsza na wsi pora, bo i gość rzadszy i nic nie słychać, tylko o *garściach, pokosach*, mendlach.... Zazdroszczę tym wszystkim, którzy do wód pojechali i jadą! Och, Ems zeszłoroczne! Urocze Ems! Mama bo chciała pojechać— lecz sprzeciwiał się papa... już i nie wiem dla czego! gotowam *jakieś* czynić domysły!... Powiedział, że na przyszłe lato wyśle nas dokąd zechcemy — że na zimę pojedziemy do Warszawy... Ale tymczasem, Bóg wié, co zajdzie!....

Słyszę turkot przed pałacem — pan Zbigniew przyjechał!

Ot, jak zgrabnie zeskoczył z karykla! Widzę to od mojéj sekretarki.... i wcale *fashionable* wygląda w swojém letniem ubraniu.

Gdyby!.. gdyby mnie pokochał szalenie, *passionnement*, *à la folie* — żył tylko dla szczęścia mojego — *myślał tylko w czemby mi dogodzić* — poświęcał się dla mnie — to i kto wié?... *Vogue la nacelle*!

Wołają mnie.

Całuję Cię serdecznie

Emma.

Dopisek.

Aj!!! znudził mnie dziś znowu pan Zbigniew — a byłam wcale dobrze usposobioną. Powstawał na zbytki — na wyjazdy za granicę dla rozrywki tylko... a to właśnie papie na rękę bardzo. Po cóż mnie tak samochcąc *deziluzjonuje!... La vie n'a de beau que les illusions!*

Addio!

Odwiedziwszy żniwiarzy swoich, darząc ich dawném: „Szczęść Boże na robotę“! zmierzył Zbigniew łan kłosistą założony pszenicą — zwolna dalsze objechał pola — potém, jakby nagłą zachęcony myślą, skręcił rączego siwka i puścił się przez ugór do Hubina. Już od *Bożéj męki* dostrzegł panie siedzące w ogrodzie pod drzewami, od łąki, zkąd był widok otwarty na zieloną równinę i wioski sąsiednie.

Wjechał w dziedziniec, oddał konia stajennemu, i wprost do ogrodu pośpieszył, gdy na skręcie ku szpalerowi, spotkał nadchodzącą panią Dobrosławską.

— Widziałyśmy grzecznego gościa już od mostku, wymówiła uprzejmie — i witam łaskawego sąsiada. Mąż mój także zjawi się niebawem. Siadajmy, boć miléj na świeżém powietrzu. I usiadła na ławce pod ścianą szpaleru, gdzie kilka było siedzeń i stół, bo często tutaj odbywały się podwieczorki a nawet i pito herbatę.

— Zdawało mi się, żem i pannę Zofję widział pod drzewami, w ulubionem miejscu — zaczął Zbigniew, zdziwiony nieco, a może i dotknięty, że pani Dobrosławska zatrzymała go tutaj.

— Jest tam, ale z Andzią pani Bronowiczowéj... mają *lekcją* właśnie. Skończą ją zapewne niezadługo.

— Panna Zofja jest nauczycielką Andzi?

— Od kilku tygodni. Posyłam po nią jednokonkę codziennie, czasem zrana, czasem po objedzie, jak tam wypadnie. A czasem to i Zosia jedzie na parę godzin do Łączek. Biedna pani Bronowiczowa! Musiała ograniczyć się we wszystkiem.

— Panna Zofja wielką ma zasługę.

— Mówi, że to miłą jest dla niéj rozrywką, a dziewczątko zdolne i pilne. W domu Andzia młodszą poucza siostrzyczkę. Chłopczyk jest u krewnych, przy nauczycielu... Pani Bronowiczowa nieskończenie jest panu wdzięczna, żeś jéj pługi przysłał...

— Pani, to taka drobnostka! — i Zbigniew zaczął o czemś innem mówić.

Po chwili nadeszła Zofja z uczennicą swoją. Zbigniew pobiegł na ich spotkanie. Zofja była rumieńsza jak zwykle, uśmiechnięta, znać ją zadowoliła nauka. Pan Zbigniew spostrzegł znowu, że miała wcale ładne oczy, a mianowicie też coś dziwnie pociągającego w spojrzeniu: znać dusza uwidomiała się w niem: Nadto, równe białe zęby, usta wprawdzie nieco duże, ale świeże, i uśmiech miły a dobrotliwy. Sukienka płócienkowa lilla, nader zręcznie odznaczała jéj stanik — i powiedział sobie znowu: że wiele ma gracji.

Gawędka potoczyła się wesoła. Zbigniew wszelako ani wspomniał o *lekcji*, chociaż Andzia poniosła do pokoju kałamarzyk, kajeta i pióra, a panna Zofja jakąś książkę w ręku trzymała.

Po chwili podano podwieczorek i śmietanę bitą, raki, chleb, masło, bułkę, sucharki, owoce — a pomiędzy temi i pomarańcze. Panna Zofja ściągnęła rękawiczki i poczęła te ostatnie obierać. Znowu Zbigniew dostrzegł, że ma śliczną, małą rączkę, dziwiąc się, że tego nie zobaczył już dawniéj.

Nadszedł pan Dobrosławski, zgrzany i zapylony, bo tylko co z pola wrócił — i wesoło gościa powitał.

Zofja ojcu podwieczorek doprawiła.

Po skończonem pożywieniu panowie zapalili cygara. Zofja wyjęła haft swój z koszyczka. Andzia opodal pończochę robiła. Rozmowa jak zwykle, potoczyła się o żniwach i o rolnictwie.

— Jakże my też panie nudzimy zawsze! — zagadał Zbigniew po chwili do Zofii, przysuwając się bliżéj z krzesłem, gdy pan domu jakieś tam rozporządzenia wydawał, a pani Dobrosławska oddaliła się na chwilę.

— Jakto? — zapytała Zofja.

— Rozmową naszą jednostajną, powszednią, o ziemi zawsze i tylko o ziemi.

— Ależ ta ziemia jest naszą i chleb nam daje.

Zbigniew umilkł, zbity nieco z toru tą odpowiedzią.

— Zbiłaś mnie pani — wymówił po chwili.

— Czem? — i spojrzała na niego tak wymownie, a w głosie jéj zdawało się, jakby ten zarzut niemile ją dotknął.

— Bom nie powinien był przypuszczać, że pani nudzić się *możesz*.

— I naprawdę — uśmiechnęła się Zofja — że nie nudze się nigdy: nie nawykłam do jakichsić szczególnych rozrywek, to i wystarczy mi wszystko.

— Bo pani i sama sobie wystarczyć potrafisz.

— Nie to... ale — zmięszała się panna trochę tym komplementem — ale, że wszystko łatwo przystaje do mnie.... bo mam to szczęśliwe usposobienie, że we wszystkiem przyjemną chwytam stronę.

— Panią rządzi wola dobra.... *serce* — wymówił ciszéj ten wyraz ostatni.

Zofja zapłonęła.

— I z tem mi dogodnie bardzo — odrzekła, ażeby coś powiedzieć.

— Pani zapewne i w ludziach dodatnią tylko chwytasz stronę?

— Bo... jak powiedziałam: że to mi dogadza więcéj. Może to jest pewne lenistwo ducha, możem powierzchowną za nadto, że nigdy strony ujemnéj pochwycić nie lubię.

— Rozumiałbym to inaczéj...

I oboje na chwilę umilkli.

— Pani nie nudzisz się nigdy, wierzę. Ale panią *ktoś* znudzić może.

— Hm... to wszakżeż, słuchając nudnéj gadaniny, można o czemś innem myśleć — wymówiła z uśmiechem. Zresztą tacy *ktosie* są rzadcy.

— Nie tak bardzo!.. Ale, czy też pani z pobłażliwością swoją, i w utworach literackich dodatnią tylko podejmujesz stronę?

— Piękną chwytam, o pośledniéj zapomnę. A jeżeli coś nie po myśli jest mojéj, to i nie czytam...

— Za dni parę odbiorę świeże książki z Warszawy. Może pani co wybierzesz.

— Z wdzięcznością przyjmę...

Pan Dobrosławski przysiadł się znowu, i rozmowa na inne przeszła pole.

Po herbacie zaszedł wózek, który Andzię mateczce powracał. Zbigniew dostrzegł, jak Zofja koszyk z owocem i przysmaczkami jakiemiś, postawiła obok żegnającego się dziewczątka.

III.

PANI WOJSŁAWSKA DO ZBIGNIEWA.

„*Mój drogi chłopcze*”

Listy twoje są zawsze wielką dla nas pociechą, a zwłaszcza też dla mnie. Odczytuję każdy po razy parę, i tylko nad tym boleję, że są za krótkie.

Cieszymy się twoją rządnością, a wiemy to i z ust obcych: *bo wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi*, niesie dawne przysłowie. Boże ci dopomóż w twojéj pracy, mój synku! Donosisz, żeś znalazł wiele życzliwości i przyjaźni w domach państwa Krzeszowskich i Dobrosławskich, ś. p. stryj twój do nich utorował ci drogę, bo od lat dwudziestu przeszło, zostawał z temi rodzinami w zażyłości wielkiéj i przyjaźni. Życzeniem jego nawet było, byś którą z tych dwóch panien — chrzestniczek jego — zaślubił. Więcéj on podobno lubił, jak mi się zdaję, Zosię Dobrosławską — ależ Emcia jest tak piękną i tyle ma powabów!

Doszło mnie już także, że państwo Krzeszowscy prócz przyjaznéj pamięci dla nieboszczyka, bardzo a bardzo chętnie ciebie przyjmują. Ktoś tam nawet zaczepił pana Krzeszowskiego, że o jego starasz się córkę, a wziął to z bardzo dobréj strony. Zapewniono mnie, że i panna jest na ciebie łaskawą, że ciebie wyróżnia z pośród innéj młodzieży i że wyrażała się wcale pochlebnie o tobie.

Zadziwisz się synku, zkąd ja wiem to wszystko?.. Oj, Zbisiu kochany, a czyż to ja nie matka twoja? Czyliż mnie wszystko, cokolwiek dotycze ciebie, nie obchodzi serdecznie? Otóż widzisz kochany, że staram się o wiadomości o tobie i zapytywałam o Żegnów i Hubin.

Macie tam w miasteczku starego, poczciwego emeryta, bezżeńca, który jeździ od komina do komina, i wszystko wie co gdzie się święci. Wczakżeż tam juz nieraz spotykałeś pana Gromskiego? Otóż ma on siostrę w sąsiedztwie naszem, odwiedzał ją i pełną kaletę nowin naprzywoził o tobie.

Więc i rozwiązana zagadka.

Wiesz synku, że ja odtąd tylko o pięknéj marzę Emci, i że to ona moją będzie synową. Żebyś mi też tymczasem jéj fotografią mógł przysłać!

Ojciec twój także sobie życzy takiego wyboru żony. Zna on oddawna tę rodzinę. Państwo Krzeszowscy są bogaci, a Emma jest ich jedynaczką. Ja, bom nie tak wyrachowana!

Wiem, że to jest dziecko rozpieszczone trochę, ale dobre i kochane a śliczne!

Panna Zofja ma być bardzo dobrem dziewczęciem ale nie ładna. Państwa Dobrosławscy godni i zacni są ludzie, ojciec dodaje wszelako, że tam niewielki będzie posag.

Jako matka, chciałabym ci gwiazdkę z nieba sprowadzić!

Do Jadzi mam teraz nauczycielkę wzorową nie dla *blichtru* tylko. Dzieweczka nasza zdolna bardzo, a będzie i ładną.

Bóg z tobą, mój synku!

Twoja kochająca cię matka

Anna Wojsławska.

Zbigniew uśmiechnął się przeczytawszy list powyższy, pokiwał głową i kazał do karykla zaprządz.

Ubrawszy się, spojrzał w zwierciadło o dwa razy więcéj jak zwykle; wskoczył na swój lekki wózek, kazał się zawieść do koszących owies, a potem do Żegnowa zawrócić.

Zastał na tarasie przed pałacem kilka obcych osób. Pomiędzy niemi był wspomniony powyżéj emeryt Gromski i jakiś nieznany mu wcale młodzieniec, urodziwy wielce: istny obrazek mód—i woniejący o kroków kilka najwykwintniejszém *Ess-bouquet*.

— Baron Jarosław Bernatowski. Pan Zbigniew Wojsławski — przedstawił ich gospodarz domu.

Młodzi podali sobie ręce.

Emma szczególniéj piękną dziś była — i po raz pierwszy Zbigniew jakoś zaniepokoił się trochę, widząc motylkującego przy niéj pięknego barona. Panicz najwięcéj tylko po francuzku mówił, lubo że obecni: ksiądz i emeryt tego nie rozumieli języka. Prawił o Paryżu, Rzymie, Wiedniu, wreszcie i o Warszawie, znał wszystko i wiedział o wszystkiem.

Zbigniew aż niby trochę pokwaśniał, i sam nie byłby umiał zdać sobie sprawy: czyli go po prostu tylko raziła śmieszna przesada barona, czyli też... odezwało się w nim uczucie zazdrości.

Panna Emma po kilku chwilach francuzkiéj z baronem pogadanki o salonach wiedeńskich, wciągnęła Zbigniewa zręcznie a umiejętnie do rozmowy. Zwracała się raz po raz ku niemu, że aż sobie uwagi starego emeryta z listu mateczki przypomniał.

Dnia trzeciego potem wiadomo było w całém sąsiedztwie, że pan baron Jarosław Bernatowski, poznawszy pannę Emmę u jéj kuzynów na wiosnę, przybył, by o jéj oświadczyć się rękę i... z arbuzem odjechał.

— At, po cóż to? I na co to? — pogderał stary proboszcz do Zbigniewa — po co przyjeżdżał? Nie dobrze, nie dobrze!.. Panna już z jaki tuzin wydzieliła arbuzów. Ty chyba, panie Zbigniewie, jeden tylko zostaniesz królem.

Zbigniew się uśmiechnął.

— Pewien swego! pomruknął proboszcz i machnął ręką.

W niedzielę zebrało się sąsiedztwo w Hubinie — a była pomiędzy gośćmi i pani Borowiczowa z córeczką.

Czas nieco chłodny i dżdżysty zjednoczył towarzystwo w salonie.

Przeglądano *Album'y*, ryciny. Panny grały na fortepianie. Starsi do *preferansa* zasiedli — gdy wtem ozwał się tentent konia przed oknami.

— To Jakóbek!.. Cóż stało się w Łączkach?! zawołała pani Bronowiczowa, blada jak mara, i ku drzwiom pobiegła.

— List jakiś pilny bardzo — wymówił, wchodzący lokaj.

— List! — pochwyciła go, złamała pieczątkę, krzyk straszny wydobył się z jéj piersi, i na krzesło upadła.

— Cóż to?

— Cóż się stało? — pytano.

Pani Bronowiczowa krzyknęła z głębi piersi — straszno — boleśnie.

— Mąż mój umarł! — i jęk po jęku wyrywał się z jéj piersi srogim ściśnionéj bólem.

Zofja blada, głębokiem współczuciem przejęta, rzuciła się przed nią, objęła jéj kolana i gwałtownym wybuchnęła płaczem.

— Bóg ciężki ból zesłał. Ale masz dzieci! Bóg dotyka, Bóg pocieszy! — wołała, całując jéj kolana i ręce.

Pani Bronowiczowa rzuciła się w jéj ramiona i potrzebowała téj przyjaznéj ucieczki. Objęły się w serdecznym uścisku — i pokój stłumione zaległo łkanie.

Emma właśnie przeglądała ryciny. Na wykrzyknik rozpaczy biednéj wdowy, posunęła się ku niéj na parę kroków, postała chwilkę, potem cofnęła się znowu, usiadła i daléj machinalnie ryciny przerzucać zaczęła.

Pani Dobrosławska płaczącą tuliła Andzię. Panowie stali w koło z niemem współczuciem.

Następnie wyprowadziła Zofja biedną kobietę do swojego pokoju — a za nią pani Dobrosławska sierocą Andzię.

Ten bolesny wypadek na wszystkich smutne bardzo sprawił wrażenie. Radzono półgłosèm, jakby ulżyć sierotom — i nic już dnia tego zebranych nie zajmowało.

Zbigniew szczególniéj był wzruszonym.

Zofja, krótko przed odjazdem gości dopiero, ukazała się znowu w salonie — była bardzo blada i zapłakana. Zapomniała nawet stargane ponad czołem przygładzić włosy.

— Cóż tam pani Bronowiczowa? — zapytał jéj Zbigniew ze współczuciem.

— Z wycieńczenia i płaczu kurczowego... płaczu serca... osłabiona po nad wyraz, zdrzemnęła się na chwilę — odrzekła ze łzami w głosie.

Z drugiego pokoju nadeszła Emma w kapturku z błękitnego atłasu z białym puszkiem, śliczna i wdzięczna.

— Do widzenia, Zosieńko! — wymówiła, obejmując przyjaciółkę.

— Do zobaczenia! — odrzekła Zofja, całując ją w lica — a przyjedźcie jutro z mamą! — prosiła. Przez dni parę zatrzymamy tam panią Bronowiczową.

— Przyjedziemy, jeżeli nas kto nie zajedzie. Dobra noc.

— Dobra noc.

Gdy Zbigniew żegnał Zofją, ujął jéj rękę, i do ust ją przycisnął, po raz pierwszy w życiu. Zofja więcéj jeszcze pobladła.

Po dniach trzech powróciła pani Bronowiczowa do Łączek. Odwiozła ją Zofja, a potem odwiedzała ją codziennie niemal. Biedna, znękana kobieta potrzebowała téj nad sobą opieki.

Dnia jednego, późno już było wieczorem, gdy Zofija lekkim ojca kabryoletem powracała do domu. Bawiła wieczora tego dłużéj, bo pani Bronowiczowa była szczególniéj rozżalona i cierpiąca.

Wieczór był widny, lecz chmurki to białawe, to czarne po jesiennem przemykały niebie. Wiatr po gołych uganiał rżyskach, szumiał po gałęziach drzew ponad drogą— lecz więcéj szumiał tylko, aniżeli się dawał we znaki, bo był miękki, zachodni, i powietrze łagodne.

Zofja patrzyła się w zadumie na okolicę, równą, daleką, zaciemnioną w niepewnem świetle księżyca, a potem utonęła w chmur kształtowaniu fantastycznem, uzupełniając w rozbujałéj nieco wyobraźni różne formy i postacie, które to zmieniały się to rozpływały w szerz i wzdłuż, dzieląc na kształty drobniejsze; to znowu bladły w świetle księżyca— i ciemniały, mknąc szybko w przestrzeni; to wreszcie gwiaździsty odsłaniały błękit i zaciemniały go znowu, szybując daléj a daléj. Młodéj dziewczynie smutno było w duszy, a ciężko *jakoś* na sercu. Bolała nad wdowim losem przyjaciołki — a zaległo coś tam i własnego dotkliwym ciężarem... czego i sama przed sobą wyznać nie chciała.

Kabryolet lekko na zwirówce turkotał, gdy wśród szumu poświstów posłyszała zbliżający się tentent pędzącego konia. Woźnica obejrzał się także.

— To chyba młody dziedzic z Suleńca — wymówił — koń bieli się pomiędzy drzewami, a mknie ogniście.

Zofii serce zabiło, że aż przycisnęła je dłonią.

Jeździec przypędził i konia powstrzymał.

— Dobry wieczór pani — wymówił głos dobrze znajomy.

— Dobry wieczór — odrzekła Zofja — pan zapewne z Żegnowa jedziesz?— i zacisnęła dłoń, gniewna na siebie, że jéj to wyrwało się pytanie.

— Nie, pani — odpowiedział Zbigniew, jadąc tuż przy kabryolecie — byłem w Hubinie.

— W Hubinie? — panna zapłonęła.

— Tak, pani, przez wieczór cały. Mama niezmiernie była niespokojna o panią, przypuszczała chorobę, złamanie kabryoletu, i różne inne jeszcze wypadki... zupełnie, jak matka moja. Więc też puściłem się do Łączek, by sprawdzić co zaszło, i pocieszyć zniepokojone serce matczyne. Pędziłem przez pola, a dosłyszawszy turkot kabryoletu, pocwałowałem za tym odgłosem.

— Jaki pan dobry! — szepnęła Zofija.

— Dogodziłem *sobie* tylko najwięcéj — odrzekł Zbigniew. A cóż tam pani Bronowiczowa?

— Cierpiąca bardzo... a była dziś rozżalona szczególniéj, i nie miałam serca, by ją samą zostawić przez wieczór cały.

— A raczéj *miałaś* pani serce, by jéj nieść ulgę i długie a somotne podzielać z nią chwile.

(d. c. n.)